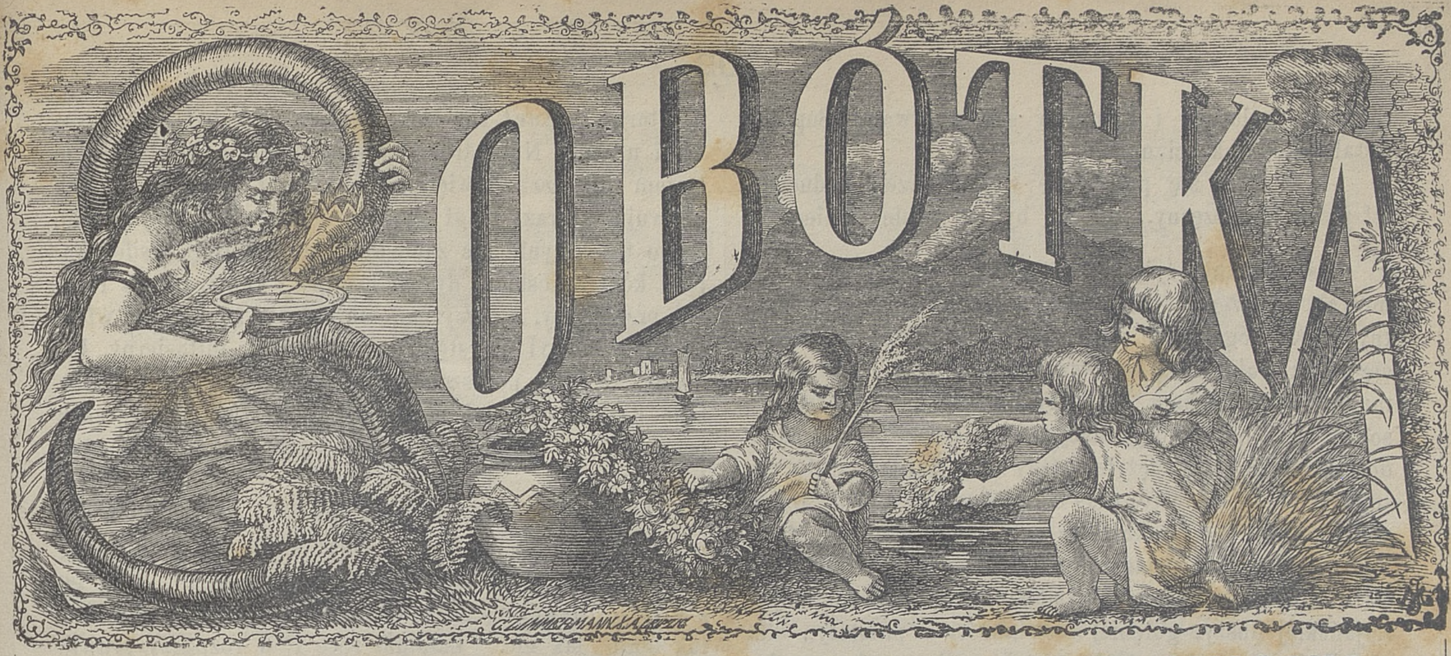


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 25. **Poznań, dnia 19 Czerwca 1869.** **Rok. I.**

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym kwartale trzecim, upraszamy Szanownych abonentów SOBÓTKI o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał przyszły i życzliwe popieranie naszego pisma.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Mój kochany Sopoćko, mówiła hrabina z zajęciem gorączkowém... ja ci się dziwię, żeś ty nie wpadł na tę myśl, którą ci obowiązek wskazywał. Jakże! wuj! rodzony wuj! jedyny opiekun. Jakeś się tylko przekonał o jéj płochości, powinieneś był użyć władzy ci danéj od Boga! powinieneś był — dawno. Ty! człek tak świętobliwy!

— Pani dobrodziejko — zawszem się lękał nawet zetknięcia z tym światem zgubionym... Czybym ją potrafił uratować lub nie... a koszta...

— Cóż znowu, koszta! co tam o tém myślisz! Dam chętnie! Na to się znajdzie zawsze... ale zważ, to obowiązek sumienia! ja od tego nie odstąpię...

— Hrabino dobrodziejko! ale skandal! Moja siostrzenica w teatrze! od tak dawna!

— Mógłeś o tém niewiedzieć wcale...

— Na mnie spadnie cień...

— Żaden, my cię obronimy, uczynimy ci z tego zasługę owszém. Mój Sopoćko, ja od mojéj myśli nie odstąpię, ją potrzeba osadzić w klasztorze! Daje skandal publiczny! — Nie można tego tak zostawić.

Sopoćko przeklinał zapewne chwilę, w któréj niepotrzebnie w zaufaniu się zbyteczném wygadał. Znał nadto hrabinę, by się mógł spodziewać, wybić jéj to z głowy... Lubiła się opiekować, nawracać a szczególniéj, jeśli to wiele hałasu narobić mogło. Dla niego zaś, tylko nieprzyjemności płynąć ztąd miały. Sama tajemnica, którą okrywał swe pochodzenie, już przez to w części musiała być nadwerężona... Smutny spuścił głowę.

— Zaklinam panię, rzekł — o największy sekret... ja potrzebuję się namyśleć.

— Ale straciłbyś cały mój szacunek! z przyciskiem odezwała się pani Drejssówa. Kochany Sopoćko — ja wszystko tak urządzę, żeby ci to najmniejszéj nie zrobiło nieprzyjemności, nie naraziło na żadne wypadki, ale jako wuj musisz wystąpić. Prawo jest za tobą... Teatr! skandal!... osadzimy ją w klasztorze, a siostra Adelaida... ją nawróci... Samo powietrze tego świętego ustronia.. wyrwiemy duszę ze szpon szatana! Jakżeś ty mógł cierpliwie i obojętnie na to patrzeć... ja niepojmuję.

— Bo ja... w istocie... nie rychło się dowiedziałem, o — o sierocie téj! skłamał Sopoćko.

Staruszka spojrzała nań milcząco.

— Naturalnie, żeś chyba nie wiedział, inaczéj byłbyś niewytłómaczony... ale to się jak najnaturalniéj rozwiąże wszystko... Gdyby był opór, ja biorę na siebie, że ci ją wydać muszą, a ty władzą opiekuna, wuja, zażądasz, aby była oddana do klasztoru...

Zresztą naradzimy się jutro rano... Ale z góry ci mówię — nie ustąpię. Wtém przystąpiła panna Ka-

rolia w okularach i rozmowa się przerwała, Sopoćko wstał blady jak ściana.

— Otóżem się potrzebnie wyrwał, rzekł w duchu... O! język nieszczęsny... ale żal był po czasie — niestety!

Ks. Kanonik żył, jak mówiliśmy w klasztorze, zajmował on w nim parę celek ubogich, ciasnych, smutnych, ale bogobojny prawdziwie staruszek, zgadzający się też z wolą Bożą we wszystkiém, złe i dobre przyjmujący z uśmiechem — nigdy nie dał nawet poznać po sobie, żeby mu ta degradacya niesłuszna, to wygnanie do miasta, zbytnie ciężyło. Gdy mu bardzo stało się smutno na duszy, wówczas zamknąwszy drzwi, klękał pod krzyżem i wypłakał się przy modlitwie, od któréj wstawał wesoły i pocieszony. Ci co go bliżéj znali, mogli ocenić głąb téj pięknéj, spokojnéj, prawdziwie chrześcijańskiéj duszy, gołębiéj niewinności i prostoty; dla obcych była to niepoczesna figurka milcząca i zamyślona, na którą mało kto zwracał uwagę. Żył też kanonik bardzo samotnie i czas spędzał na czytaniu, modlitwie i przechadzkach. U wyższego duchowieństwa wcale w łaskach nie był. Zadziwić się musiał mocno, gdy jednego z tych dni kleryk przyszedł go prosić nazajutrz na herbatę do ks. Sufragana.. Godność tę piastował podówczas duchowny zaledwie lat trzydzieści mieć mogący, potomek znakomitéj niegdyś rodziny, wychowany w Rzymie, monsignor już, prałat domowy Ojca świętego.. człek zacny, należący jednak nie do tego duchowieństwa zrosłego na ziemi naszéj, w obyczaju polskim, — ale do przywożącego z soba francusko-włoskie obyczaje, teorye i tradycye z za morza.

Spędziwszy długie lata w Rzymie i na rozmaitych misyach, monsignor, zaledwie teraz uczył się na nowo swojego języka, z trudnością stósunki miejscowe i zwyczaje odwieczne pojmując. Każdy z kościołów katolickich, do wielkiego świata jedności należących, miał, jak wiadomo, przy dogmacie jednym obyczaje i dyscyplinę wielce różną, na któréj ukształtowanie się wpływał przez wielki charakter narodowy. W łonie katolickiéj jedności i związku była niby federacya kościołów i wielka harmonia a nie monotonia... jakiéj dziś po nich wymagają, zbyt ściśli ultramontanie.. Dla tego i biskupstwa i kapitały, obsadzane były prawie bez wyjątku ludźmi miejscowymi, w żywym stósunku z krajem będącymi, znającymi go.. posiadającymi tajemnicę władania sercami...

Monsignor, zresztą najzacniejszy człowiek w świecie, miał tę wadę wielką, że był obcym wśród tego, co go otaczało, ale z dobrą wolą, jaką okazywał nauczenia się kraju i obyczaju, mógł bardzo przyjść do porozumienia z nim. Tymczasem stósunki familijne, wychowanie... wszystko go zbliżało do arystokracyi, do wyższych klas społeczności i poniekąd utrzymywało w odosobnieniu, bo bywając po salonach tylko, i mówiąc po francusku, trudno się nauczyć — po polsku.

Monsignor był bardzo pięknym, młodym mężczyzną i jak na duchownego, może nadto o tych darach Bożych pamiętał. Włos miał kruczéj czarności, rysy regularne, rączki białe i bardzo wypieszczone, figurę zgrabną, nosił się elegancko, ubierał wdzięcznie i z efektem. Każdy ruch jego, czy w prywatném towarzystwie, czy u ołtarza, zdawał się obrachowany, tak był pełen gracyi i uroku. Nie bardzo majętny zrazu, najosobliwszym trafem już po wyświęceniu otrzymał znaczny spadek po wuju i teraz mógł żyć na bardzo pięknéj stopie, czego też uczynić nie zaniedbał. Miał karetę wiedeńską, parę koni arabskich, dwóch lokajów, kamerdynera i lokal przepyszny... Przyznać mu należy, że uczynił wiele dobrego, że był przystępny dla ubogich, miłosierny, łagodny, że miał poruszenia serca najzacniejsze.. ale obok tego wszystkiego był niezmiernie surowym w rzeczach ortodoksyi, a nawet w tych, w których jako in dubiis.. kościół orzeka — libertas.

Kanonik znał monsignora zaledwie z kościoła, z zakrystyi, w któréj ilekroć go spotkał, stawał w kątku ze swą wyszarzaną sutanną i butami kozłowemi, znał go z karety... nawet z jego jałmużn obfitych... ale osobiście.. tak mało jak nic. Załamał ręce i w rozpaczy prawie myślał, jak wejdzie na te salony... i co tam robić będzie.

— Nie mógł mi większéj psoty wyrządzić, mówił w duchu — jak czyniąc mi tę grzeczność... Ale odmówić... nie wypada! nie można... powiedzą, żem dumny, że się buntuję, że sierdzę się na nich... panu Bogu ofiaruję i... pójdę.

Kanonik tak dawno w odwiedzinach nie bywał nigdzie, że gdy mu przyszło z kufra dobyć nową rewerendę... płaszcz z pudełka distinctorium zaśniedziałe, z szafy buty zeschłe... wszystko nosiło ślady zbyt długiego spoczynku.. Kapelusz był rudy; a chustka od nosa, najlepsza! miała dziury, które umiejętnie dyssymulować należało...

Gdy nadeszła godzina, cichą odmówiwszy modlitwę, pociągnął się ks. kanonik ku domowi, w pobliżu katedry zajmowanemu przez monsignora.. Już wschody mieszkania imponowały... w pierwszych drzwiach stał Szwajcar skromnie ubrany, na stole przy nim leżała księga do zapisywania odwiedzin. Wschody okryte dywanem, prowadziły na piętro, gdzie lokaj znowu w czarnym fraku otwierał...

Mieszkanie było dosyć obszerne, a że gospodarz w czasie długiego we Włoszech pobytu zajmował się równie archeologią i sztuką jak teologią... ściany okrywały obrazy... na sprzętach pełno było włoskich pamiątek i marmurów. Wprawdzie nic pogańskiego i świeckiego nie mięszało się do tych zbiorów... ale one nadawały jakąś barwę światową mieszkaniu...

W trzecim dopiero salonie, dywanami wysłanym, gdzie mieściły się najkosztowniejsze obrazy, Chrystus Benvenuta... w szafach mozaiki i naczynia XVI wieku, Monsignor siedział na kanapie, a przy nim na fotelu Cavaliere Sopoćko... w czarnym fraku. Gospodarz miał na sobie suknię czarną z guziczkami palowemi, z koronkowemi mankietami, krzyż złoty na piersiach i fioletowe tylko pończochy.

Postrzegłszy przygarbionego, śrebrnowłosego staruszka, który kapelusz trzymając w drżących rękach i chustkę w roztargnieniu wyjętą a świecącą dziurami, monsignor wstał, pospieszył przeciw niemu niezmiernie grzecznie, uprzedzająco, uśmiechnięty i posadzić go chciał obok siebie na kanapie, ale skromny starzec, nie przyjął tego honoru i siadł

opodal na krześle. Monsignor był tak bardzo grzeczny, iż w wyszukanych jego komplementach, czuć było straszliwy chłód tylko...

Była to owa znana grzeczność monarchiczna, gdy idzie o zyskanie wpływowego człowieka, który zresztą... na chwilę potrzebny tylko... zawadza.

Sopoćko raczył się przypomnieć z równie obrachowaną grzecznością.

— Ks. kanoniku, rzekł wesoło monsignor, (z obcymi zawsze zachowywał tę urzędową wesołość) — dla czego się tak zamykacie, że was nigdzie i nigdy oprócz kościoła widzieć nie można?...

— Stary jestem Ekscellencyo, stary i nie zdatny światu. Pan Bóg mnie przyjmuje takim, jakim jestem, ludzie są mniéj wyrozumiali...

— Ale i ludzie i towarzystwo różne przecie, a są między niém i tacy, liczę siebie do nich, którzyby ks. kanonika radzi widzieli i zbliżyli się doń.

Staruszek dziękując ze złożonemi rękami i zawsze na widoku będącą tą chustką dziurawą, skłonił siwą głowę. Zaczęto mówić o nowinach z Rzymu, o mieście, o roku... o tém i owém. Sopoćko był małomówny i milczący. Wśród saméj rozmowy kamerdyner otworzył podwoje drugiego pokoju, w ktorym podano herbatę i rodzaj wieczerzy. Stół nakryty starannie, błyszczący od srebra i szkła, oświecony lampami, wydawał się dziwnie kanonikowi, który swe obiady jadał na małéj serwetce i wyłupanych talerzach.

Monsignor wziął go pod rękę i wprowadził z sobą, sadzając z jednéj strony Sopoćkę, z drugiéj jego.. Daléj usiadł przybyły kapelan i sekretarz Jego Ekscellencyi. Przy herbacie i postnych przekąskach bardzo smacznych i wytwornych rozmowa znowu ciągnęła się o rzeczach ogólnych... Kanonik mało jadł, był zakłopotany, a choć nic nie oznajmowało, aby był zaproszony z innego powodu oprócz grzeczności, przeczuwał jednak zawsze, iż to bez celu i interesu obejść się nie może... Ku końcowi herbaty kapelan odszedł, sekretarz się wysunął, słudzy znikli i monsignor gości swych nazad wprowadził do salonu. Kanonik liczył bijące kwadranse na wspaniałym zegarze, który komin przyozdabiał, myśląc, kiedy mu wyjść będzie wolno, gdy przerywane gawędki o tém i owém, padły na mediae res, na bieżące miejskie wypadki. Sopoćko zaczął mówić o zgubnym wpływie dziennikarstwa na społeczność, i wyraził się, że nowy przez stronnictwo liberalne, nieprzyjazny kościołowi założyć się mający dziennik, rodzi wielkie obawy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zygmunt Padlewski.

Szczęsny, kto umiał polegdz dla ojczyzny. J. K.

Sześć lat minęło 15 maja, jak echo strzałów moskiewskich rozległo się po Płocku... a Zygmunt Padlewski, jedna z najwybitniejszych i zarazem najszlachetniejszych postaci naszéj orężnéj walki z Moskwą, drgający życiem jeszcze, stoczył się do grobu... Sześć lat minęło, jak Moskwa na tym samym ofiarniku dokonała morderstwa.. Rusin z wsi Czerniawki, spoczął na piaskach Mazowsza, w stolicy Krzywoustego, mający za pomnik grobowy... płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy. Urodzony w r. 1835, dziecięciem prawie oddanym został do szkoły kadetów w Petersburgu, która doskonale potrafi zagłuszyć w człowieku wszelkie szlachetne popędy. I nasz Zygmunt wyszedł z niéj takim, jak wszyscy wychodzili. Zabawy, życie lekkie a wesołe zajmowały go wyłącznie. Ale w głębi duszy tlała tam iskra polska... wyczekując chwili, by ognistym płomieniem błysnąć. I chwila ta nadeszła... wielki obraz moralnéj walki, jaką naród staczał z Moskwą, porwał namiętną duszę Zygmunta. Uczucie polskie odżyło w całéj swéj sile! Rzuca więc nienawistną służbę i wyjeżdża za granicę. W Paryżu, w parę miesięcy potém, tak niedawny ulubieniec salonów moskiewskich, na wskroś odrodzony, staje na czele młodzieży polskiéj. Następnie spotykamy go jako profesora szkoły wojskowéj w Genui i Cuneo; po rozwiązaniu jéj, przybywa w połowie 1862 r. do Warszawy i jako Naczelnik miasta, staje na czele ruchu, a przeważnym swoim głosem, czując, że niepodobna uciszyć rozgorączkowanych i podrażnionych poborem mas, decyduje powstanie. Awanturniczy projekt zdobycia Modlina pełznie na niczém. W krótce potém, jako naczelnik wojenny województwa płockiego, stacza parę szczęśliwych potyczek z Moskalami, z których pod Myszyńcami, gdzie Zygmunt prawdziwym bohaterem odznacza się, należy do najznakomitszych. Naciśnięty wszakże przez Moskali, rozpuszcza chwilowo oddział. Podczas zajęć organizujących nowy oddział, w przejeździe w dniu 17 kwietnia, Moskale chwytają go i z wielką radością a tryumfem do Płocka prowadzą. Więzienie karne na obszernym placu, nie opodal rogatek płockich wznoszące się, zamienione w chwilach tych na więzienie polityczne, było odtąd niemym świadkiem ostatnich dni Zygmunta. Rząd Narodowy powziąwszy wiadomość o jego uwięzieniu dokładał wszelkich starań, aby go uwolnić; był nawet projekt wydobycia go siłą. Przyjaciele Zygmunta z wielkiém poświęceniem koło tegoż samego krzątali się. Wszystko było przygotowane... wszystko obliczone... plan jak najlepiéj ułożony... potrzeba nieszczęścia, aby niezręczność jednéj pani wszystko popsuła. W tym samym dniu, jaki naznaczony był na ucieczkę Zygmunta, jedna z pań posłała kartkę do swego kuzyna. Moskwa tę kartkę przejęła, — całka straż została zmienioną. Wszelka nadzieja ratunku upadła... boleść niewymowna zawładnęła wszystkimi... tylko jeden Zygmunt niezachwianą pogodę duszy do końca życia zachował. Dzień 15 maja był dniem ostatniem jego życia. Zaledwie pierwsze promienie słońca ozłociły ziemię, a fatalny wózek zatoczył się przed więzienie, Zygmunt spokojny, pogodny, siadł nań i stanął na placu. Na szerokich polach poza rogatkami płockiemi Moskwa rozwinęła siły niezmierne, lud zgromadził się tłumnie. Cisza grobowa zaległa na okół. odczytano tak zwany wyrok. Chciano zawiązać oczy Zygmuntowi, nie dozwolił na to, ale musiał czekać pół godziny, dłużéj jak wieki całe, zanim Moskwa na łaskę tę zezwoliła. Przez cały ten czas Zygmunt paląc cygaro, stał spokojny, uśmiechający się nawet... Nadeszła fatalna chwila... padło dwanaście strzałów, wszystkie trafiły poniżéj piersi. Zygmunt zachwiał się, ale nie upadł. Oficer dowodzący rozkazał dobić go podoficerowi; znów pada strzał — ale nie strzał śmiertelny, Zygmunt drgający życiem jeszcze, stoczył się w dół... Moskwa żywego zasypała ziemią, krzyk oburzenia i zgrozy, rozszedł się pomiędzy obecnymi, a w tejże saméj chwili sygnaturka na kościele Reformatów zajęczała żałośnie, dając znać, iż jedna szlachetna dusza uleciała w niebiosa. Na głos ten, obecni padli na kolana, i rzewnie modlić się poczęli za umarłych... Moskale na obraz ten oniemieli, kozacy tylko pomiędzy obecnymi przywracali porządek. W tym samym roku w listopadzie, na kresach polskich, zamordowany został starzec siedemdziesięcioletni, dowódzca oddziału, Władysław Padlewski, ojciec Zygmunta. F...



Przed sześciu laty: Rozstrzelanie Zygmunta Padlewskiego.

O zabobonach.

(Dokończenie.)

Pierwsze, że tak powiem uświęcenie, proszę mi wybaczyć to wyrażenie, palenia czarownic ogłoszoném zostało przez bullę papiezką Jana XXII około 1330 roku. Głowa kościoła nie tylko pochwala mordowanie czarowników i czarownic, ale rozkazuje zarazem ich majątki konfiskować.

Gorszy wpływ wywarła późniejsza bulla papieża Innocencyusza VIII z roku 1484, który wzywa władze duchowne i świeckie do współdziałania, aby wytępić mnożące się czarownice. W skutek tych i podobnych reskryptów ustanowiono na te niewinne ofiary sąd doraźny. Używano wszelkich mąk i tortur, aby z nich wydobyć przyznanie się do zbrodni niepodobnych i urojonych i podanie wszystkich współwinnych. Czy się przyznały, czy też niewzruszone przezwyciężały męki i tortury, tak czy tak, czekała je śmierć na stósie. Mienie podzielono między sędziów i ich morderców. Były czasy, że każde książątko, każde hrabiątko miało swego osobnego kata do palenia czarownic. Oskarzenia ani śledzenia nie było — pogłoska wystarczała. Bodinus donosi nam z Mediolanu o panującym tamże zwyczaju, że w kościołach tamtejszych w pewnych miejscach zawieszane były pudełka, w które donosy bez podpisu były wrzucane, w skutek których bez sprawdzenia następowała egzekucya. To też proste skinienie wysoko postawionego nieprzyjaciela wystarczało, aby zniszczyć cały dom. Nie dość na tém, zorganizowały się całe wyprawy na cioty.

Przez całą Europę jak epidemiczna zaraza rozszedł się ten zabobon i jego okropne skutki i we wszystkich krajach zaczęły się dymić stósy, roznosząc wszędzie kłęby dymu po spalonych ciałach. Z chlubą dla naszéj przeszłości, dla naszego kraju, podnieść mi tu wypada, że u nas w Polsce, czy to pod wpływem większéj jak gdzieindziéj oświaty, czy też łagodniejszego charakteru ludu, później zabobon ten grasować począł i nigdy nie doszedł takich rozmiarów jak w sąsiednich Niemczech.

Nazwaliśmy zabobon ten chorobą i rzeczywiście wszczepiony raz w zdrowe ciało ludu, szerzył się jak niebezpieczna zaraza z jednego miejsca na drugie, wywoływał to tu, to tam, klęskę coraz większą, ustawał potém i przycichł, dopóki znowu ogólna rzeź nie nastała.

Czy może ktoś sobie w południe w pełni światła dziennego wystawić przestrach i przerażenie, jakie obejmuje bojaźliwych o północy na miejscach pustych lub na uroczyskach? Tak samo nam trudno wyobrazić sobie ten popłoch ciążący, jako gradowa chmura swym ołowianym ciężarem na przestraszonéj ludzkości, który zatruwał wszelkie przyjemności życia, groził śmiercią i rozłączeniem najdroższych osób. W jak okropném położeniu były przedewszystkiém biedne kobiety, które za najmniejszém oskarżeniem sądzono i karano za zbrodnie, z jakich każdy dziś śmiać się musi! Zachorowało gdzieśkolwiek bydło, rozniemógł się kto, — ciota była temu winną; były w wiośnie mrozy późne, w lecie grady i grzmoty, — cioty musiały za te zjawiska natury odpowiadać. Niszczyły gąsiennice owoc i krzewy, myszy zboża na polu, — cioty to zrobiły; — cioty sprowadzały zarazy i choroby, — cioty robiły wszystko. Skoro takie przekonanie się rozeszło, wnet pojawiło się i podejrzenie na jaką kobietę, chwytano ją, wsadzano na tortury i zmuszano okropną męczarnią do przyznania się do winy i wymienienia współwinnych. Słówko jedno, wskazówka najdrobniejsza wystarczała, aby całe kółko, całą nieraz rodzinę wystawić na zgubę, zaprowadzić na stós. Jest rzeczą niepojętą, że te biedne ofiary torturowane w świętém i sprawiedliwém oburzeniu nie podawały nigdy swych sędziów i katów jako współwinnych, aby się na nich zemścić. W kilku razach tylko to rzeczywiście się stało.

Ogólna ta na czarownice obława rozpoczęła się, jak mówiliśmy, jeszcze przed reformacyą. Protestantyzm wywołał rozmaite nowe rzeczy, ale w téj pladze ludzkości nic nie zmienił na lepsze. Przeciwnie luterscy duchowni z większą jeszcze gorliwością i podlejszemi środkami ścigali podejrzanych o czary i stósunki z złym duchem. Biada było kobiecie brzydkiéj, bo jéj postać sama już ją znamionowała jako ciotę; — biada pięknéj, bo miłość i podziwienie, jakie wzbudzała, rozgłos jéj wdzięków, podawały ją w podejrzenie, że czarować umie. Biada kobiecie, która wiecznie trzymała się starych obyczajów i obrzędów — biada téj, która wolnomyślności swéj nie taiła — już przez to samo była posądzoną o związki z czartem; biada biednéj, bo ubóstwo mogło stać się przyczyną jéj zguby; biada bogatéj, bo jéj mienie obudzić mogło chciwość sędziów; majątek jéj bowiem nie przechodził na potomków, lecz dostawał się sędziom, fiskusowi lub najczęściéj kościołowi.

Nikt nie stał dość wysoko, nikt dość nisko — wszystkim równe zagrażało niebezpieczeństwo. Kat z torturami był zawsze na pogotowiu, przyjmował wielkich i małych, a w męczarniach tortur każdy się do każdéj przyznawał winy.

Sprawiedliwość wymaga, aby oskarżonemu bronić się było wolno, niezdolnemu do obrony własnéj przydają obroncę. Ale nie długo trwało, a i obrońców zabrakło, bo obrońca aż nadto często bywał uważany i sądzony jako współwinowajca.

Przypomniano sobie tedy odwieczne sądy boże. Wina lub nienawiść miały przez lud, przez jakieś dopuszczenie boże, się okazać. Podejrzanych i oskarzonych o czary wrzucano z zawiązanemi rękami i nogami we wodę i pławiono ich. Jeżeli ofiary szły do dna i tonęły, natenczas były niewinne. Próbę taką przypłacały one zwykle życiem, ale za to chowano je po chrześcijańsku. Jeżeli zaś nie utonęły natychmiast i utrzymywały się choćby chwilkę tylko na wodzie — były winne, wyciągano je z wody, brano na tortury i palono. —

Czyż kiedykolwiek w dziejach świata obracano święte zasady prawa i sprawiedliwości w podobne szyderstwo? Daleko na pozór śmieszniejszym był sąd boży przez ważenie czarownic, ale w gruncie rzeczy była taka waga — n. p. najsławniejsza w Oudewater w Niderlandyi — szatańskim wymysłem. Mechanizm jéj bowiem był tak zbudowany, że zupełnie dobréj woli ważącego było pozostawioném, czy chce osobę oskarżoną uczynić winną lub niewinną. Jeżeli ważyła przeszło 30 funtów, była wolną — jeżeli mniéj, była zgubioną. Jako przykład, do jakiéj bezczelności pod tym względem dochodzili sędziowie i to bezkarnie, przytaczam tu fakt, że jeszcze w roku 1728 w Szegedynie na Węgrzech spalono 13 czarownic, z których najtęższa ważyć miała tylko jeden łót.

Jestto prawdą dawno już uznaną, że głupota i bezrozum ludzi daleko więcéj rodzi złego, jak ich złość, że brak oświaty gorsze sprowadza skutki, jak najwyuzdańsza namiętność. Ta się przesyca prędko — do przełamania tamtéj wieków potrzeba; kto rozważy sobie tę okropną plagę ciążącą na minionych czterech wiekach, ten nie potrzebuje daleko szukać na to dowodów.

Choć to krwawe wspomnienia, przytoczyć tu muszę jednakże dla zrozumienia ogromu téj klęski kilka faktów z historyi Niemiec, gdzie plaga ta do największych doszła rozmiarów.

W małém miasteczku Windsheim spalono w jednym roku 1596 — 23 kobiet — w mieście Boltweil 113 — we Fryburgu 34. W księstwie Lotaryngii zginęło na stósie w pięciu latach 900 — w Genewie, mie-

ście czysto protestanckiém, w jednym kwartale 500. W biskupstwie Strasburskiém zamordowano od 1615 — 1635, a więc przez 20 lat 5000 czarownic. W biskupstwie Trewirskiém spalono w 20 wsiach kościelnych pod miastem leżący h 368 ofiar.

Rzeź tak była ogólną, że się ludzie zupełnie do niéj byli przyzwyczaili i dla tego, że była codzienną, mało o niéj pisali.

W r. 1613 zawezwało miasteczko Coesfeld w Westfalii kata z Lipska do spalenia kilkunastu skazanych czarownic. Szanowny magistrat na to dużo wydał pieniędzy — aby więc za kilka tygodni lub miesięcy znów kata nie sprowadzać, spalono od razu jeszcze kilkanaście osób na chybił trafił, któreby mogły być czarownicami.

Ostatnią o czary spaloną ofiarą była w Niemczech Marya Renata, matka przełożona klasztoru pod Würzburgiem — zginęła ona w roku 1748.

W roku 1731 ustały ta plaga i we Francyi, a w r. 1781 w Hiszpanii.

Z Polski mamy jeszcze z ostatnich lat Rzeczypospolitéj smutne wypadki tego rodzaju, ale nie wychodzące z poręki rządu lub duchowieństwa, lecz przez swawolę szlachty nie dość wykształconéj. Dr. A.

Urywki z wspomnień uniwersyteckich z r. 1846.

List II. Przez F. D.

Do Pani E.

Szanowna Pani! Poprzedni list swój urwałem na Lisie, o którym pragnę w tém miejscu choć kilka wyrazów powiedzieć. Wybacz mi Pani ten nieporządek, — z góry wszakże zastrzegłem się przeciw wszelkiéj systematyczności. W wspomnieniach tych chodzi mi jedynie o prawdę, o wierne scharakteryzowanie uniwersytetu moskiewskiego w danéj chwili, a nie o obmyślaną konstrukcyą. Otóż Lisem nazywaliśmy jednego z naszych kolegów, rodem z mińskiéj gubernii, uczęszczającego na wydział medyczny. Rodzina jego w roku 1831 odznaczyła się wielkiemi ofiarami i wielkiém poświęceniem; — z klęski wyniosła jedynie czyste imie, gorącą miłość do kraju — i ubóstwo. Lis oddziedziczył wszystkie te cnoty i przymioty. Był więc i biednym, jak większa część studentów Polaków w Moskwie. Dziś jeszcze trudno mi zrozumieć, ile to potrzeba było mieć odwagi i wiary w sobie, aby nie mając złamanego grosza w kieszeni, puszczać się do Moskwy po naukę. A jednak seciny takich śmiałków było pomiędzy nami i żaden nie zginął — miłość koleżeńska zaradzała wszystkiemu.... Nie ubóstwo wszakże było właściwością Lisa, ale charakter jego, organizacya wewnętrzna, która graniczyła niemal z szaleństwem. Pełen niekłamanéj nienawiści do Moskali, uważał się względem nich za pewien rodzaj karzącéj Nemezis, obowiązanéj do nieustannéj zemsty za wszelkie ich czyny względem nas. Wreszcie sądził on słusznie, iż pomiędzy nami a nimi istnieje ciągła walka, w któréj nie ma ani chwili wypoczynku, ani chwili najmniejszego zawieszenia broni. Rodzaj wszakże walki obrał sobie nader oryginalny. Potrzeba było, z jednéj strony tylu niesprawiedliwości doznanych od Moskali, a z drugiéj strony tyle przeciwko nim zaciętéj nienawiści, aby uciekać się do tego rodzaju zemsty, czy walki, jak ją Lis nazywał. Polegała ona na tém, by Moskalom za nic nie płacić, by nigdy z nimi w żadnym interesie dobréj wiary nie dowodzić. Niepłacenie im miało być odwetem za krzywdy nam wyrządzone. O krzywdy zaś te obwiniał on całe społeczeństwo moskiewskie a nie rząd tylko; i w tym ostatnim względzie miał najzupełniejszą racyą, jak to dobitnie i jasno ostatnie wypadki dowiodły. Nie płacił więc zwyczajnie nigdy za mieszkanie, nie płacił praczce — nie płacił bułecznikowi — zgoła nie płacił za nic i nigdy żadnemu Moskalowi, uważając za święty obowiązek każdego ukrzywdzić. Cały majątek jego składał się z tego, co nosił na sobie, z poduszki, skryptów uniwersyteckich i fajki; — przenosiny więc z mieszkania na mieszkanie odbywały się łatwo. Zwyczajnie pewnego pięknego poranku znikał z jednego mieszkania i tegoż samego dnia zadowolniony, uśmiechający się, zjawiał się w inném mieszkaniu na drugim końcu Moskwy położoném. Wszelkie perswazye kolegów nic nie pomagały, na wszystko z wielkim ogniem i namiętnością odpowiadał: „to psy, — oni nam daleko więcéj zabrali, daleko więcéj nas skrzywdzili.“ Pożyczki od żadnego kolegi, choćby najdelikatniéj mu ofiarowanéj nie przyjmował, mówiąc, iż nie może zaciągać długów, bo nie ma żadnego na teraz widoku uiszczenia się. Żył jak Spartanin — wieczna tęsknota i zadumka panowała na jego czole, — uśmiech rzadko kiedy rozjaśniał jego twarz o rysach nader sympatycznych, niewieścich prawie. Takim więc sposobem miał mieszkanie i bułki; światło dostarczał sobie z cerkwi, biorąc z nich po prostu świece złotem papierkiem pooklejane, a długie i grube, jak pałka tamburmajorska. Moskale czuli, że do posiadania ich niekoniecznie prawidłowym sposobem przychodził, ale wyraźnie obwiniać nie śmieli. Jedzenie dostarczał sobie nie mniéj dowcipnie. Zimą i latem chodził za rozmaitemi pogrzebami na mogiłki, a przyłączając się do konduktu pogrzebowego, następnie z mięsiwa zimnego na stypę zastawionego najobojętniéj w świecie zabierał wszystko, co tylko jego olbrzymie kieszenie pomieścić mogły. Te jego wędrówki pobożne odbywały się w miarę wyczerpywania się zapasów. Takim sposobem człowiek ten przeżył cztery lata w uniwersytecie. Tytoń i inne rzeczy, oraz ubranie, bez ceremonii zabierał bogatszym kolegom, tylko pieniędzy nigdy nie przyjmował i nigdy ich nie potrzebował. Ostatniego roku podał się na koszt rządowy — brał stypendyum, 20 rubli miesięcznie. Lecz, czy Szanowna Pani sądzi, że wówczas zmienił tryb życia? Bynajmniéj... po dawnemu nic nigdy nie płacił, a całe dwadzieścia rubli swéj biednéj rodzinie posyłał. Kiedy już ukończył uniwersytet, przeznaczono go na Kaukaz dla odsłużenia stypendyum. Dano mu na koszta podróży parę set rubli; — połowę z nich zaraz odesłał rodzinie, za drugą połowę po raz pierwszy w życiu dopóty hulał w Moskwie, dopóki wszystkich nie stracił. Naturalnie, drugi raz nie dano mu już do rąk pieniędzy, — przyszłego lekarza batalionu wraz z zbrodniarzami kryminalnymi wyprawiono etapami. Co się z nim stało — nie wiem, ale to pewna, że chyba cudem doszedł na miejsce przeznaczenia, bo pognano go bardzo chorego. Natura to była w gruncie najszlachetniejsza i tylko nieszczęścia rodziny jego i publiczne mogły go na tak fatalną drogę wprowadzić, a któréj mu żadną miarą nie podobna było wybić z głowy. Uważam jednak za konieczne nadmienić, iż z powodu jego żaden Moskal nie został ukrzywdzony, bo koledzy co do grosza płacili jego gospodyniom, u których mieszkał i wszystkim przymusowym jego wierzycielom. Nadzwyczaj to była oryginalna, dziwaczna dusza. Żył tylko z tymi kolegami, którzy mieli cztery guziki z tyłu munduru; sześć uważał za niewątpliwą oznakę pojęć arystokratycznych, a arystokratów nie nawidził zaraz po Moskalach; — dalej z tymi, którzy nie spijali kwasu kaziennego, to jest, nie mieszkali w koszarach skarbowych, lub nie chodzili do tych ostatnich pić kwasu, co Lis uważał za wielką cnotę; wreszcie, z tymi, którzy się dobrze uczyli a raczéj dobre otrzymywali kreski, uważał ich za geniuszów, a do geniuszów miał widoczną słabość. Ale geniusze ci nadużywali często jego dobroci i ży-

czliwości dla siebie; wyrządzali mu tysiące psot, dopuszczali się z nim tysiąca pustot — Lis wszystko przebaczał. Mnóstwo przypominam sobie o nim historyi, niepodobna ich jednak wszystkich opowiedzieć.

Po tym ustępie powracam jeszcze do zwierzchności uniwersyteckiéj. Mówiąc o niéj, nie mogę milczeniem pominąć inspektora uniwersytetu, Płatona Stiepanowicza Nachimowa. Poprzednio służył on na flocie, którą opuścił w stopniu kapitana wtoroj (2giéj) rangi i z prawem noszenia munduru marynarza. Miał lat przeszło pięćdziesiąt. Człowiek prosty, bez żadnego wykształcenia, szlachetna wszakże natura, pełna dobroci czułéj, miękkiéj, wcale głową nie kontrolowanéj. Ślubował sobie dwie rzeczy, t. j. kochać ludzi i słuchać bezwarunkowo starszych. Na tyle miał praktycznego rozumu, iż wiedząc, że trudno te dwie rzeczy godzić z sobą, dla tego więc by zbytecznie nie tarły się z sobą, lgnął zawsze do ludzi szlachetnych. Kurator też, Hr. Strogonów, posiadał jego bezgraniczną miłość i bezgraniczne posłuszeństwo. Podłych i wszelkiéj podłości nienawidził, a choć sam przywykł do posłuszeństwa, w drugich wszakże lubiał spotykać niezawisłość i czupurność. Każdy student, który się dobrze uczył, a był przytém zuchwałym i z Naczalstwem zadzierał, mógł śmiało liczyć na jego życzliwość. To wszystko do, iero stawało się jasném po bliższém poznaniu go — zewnętrznie bowiem drapował się tak, by każdy wnosił, że to co najmniéj Marat. Nigdy inaczéj nie chodził po uniwersytecie, jak po napoleońsku, ręce złożone na krzyż — brwi marszczył okropnie, a tę twarz stworzoną do śmiechu dobrodusznego, stroił w grozę, która w każdym swą karykaturnością budziła wesołość. Chód jego był zawsze powolny, majestatyczny — sądziłby można było, że gromowładny Jowisz przed burzą przechadza się tak wspaniale. Nazywano go zwyczajnie: Flakonem Stakanowiczem, o czém wiedział doskonale i przy każdéj sposobności z okropném oburzeniem studentom wyrzucał. Tworzono o nim tysiące historyi, któr- go doskonale charakteryzowały; wszyscy jednak począwszy od profesorów aż do studentów kochali go i szanowali, a wstawiennictwo jego było zawsze skutecznem, bo nikt starcowi temu nie śmiał w niczém odmówić. Nas kochał bardzo, powtarzając: „Wy dobryj, błahorodnyj narod, tolko wspylczywyj i gordyj (wy jesteście dobrzy i szlachetni, tylko popędliwi i dumni). Ileż to razy prawdziwie po ojcowsku ratował nas! Pamiętam, iż jeden z naszych rodaków żandarma na służbie będącego, czyli szyldwacha, uderzył w twarz za to, iż go nie chciał przepuścić przez plac, na którym wówczas cyrkulacyą wstrzymano. Wiadomo Pani, jak to dziś jeszcze ważném jest przewinieniem; a cóż dopiero mówić o czasach Mikołajewskich, w których w tém sponiewieraném społeczeństwie jedynie wojsko było uprzywilejowanym stanem. Sądziliśmy, że kolega nasz pójdzie w sołdaty; — skończyło się wszystko na wydaleniu go z uniwersytetu i odesłaniu do Warszawy, zkąd był rodem. (Dok. Listu II n.)

ROZMAITOŚCI.

Teatr Krakowski w Poznaniu.

W ostatnich dniach przedstawiano na scenie tutejszéj dwie komedye młodego i utalentowanego pisarza Michała Bałuckiego, któremu krytycy rokują bardzo piękną przyszłość. Obiedwie komedye: Radzcy pana Radzcy i Polowanie na męża, są zdjęte z naszego życia mieszczańskiego, którego ujemne, wadliwe i śmieszne strony drastycznie charakteryzują i krytykują. Temu to żywemu a może i prawdziwemu obrazowaniu naszego mieszczaństwa przypisać prawdopodobnie należy, że Radzcy pana Radzcy przedstawione na scenie krakowskiéj, warszawskiéj i tutejszéj, zajęły publiczność w wysokim stopniu i wywołały tysiące oklasków, chociaż sztuka sama prócz drastycznych charakterów i kilku scen komicznych nie odznacza się żadnym szczególnym artyzmem.

Michał Bałucki przedstawia w obudwóch komedyach moralną wartość stanu mieszczańskiego — naszego stanu trzeciego. Zdaje się on być zdania, że stan ten powinien być u nas wszystkiém, wykazuje przecież w obudwóch komedyach, że jest dosłownie niczém.

W Radzcach Pana Radzcy wyprowadza autor na scenę zamożnego mieszczanina, który pracą uczciwą doszedł do bardzo pięknego majątku, skutkiem czego zyskuje pewne znaczenie i powagę. Obywatelstwo wybiera go do rady miejskiéj, ale nowy Pan Radzca znajduje się w jak najopłakańszém położeniu, bo brak mu zgoła wszelkiego wykształcenia, zaledwie umie czytać i nazwisko własne podpisać. Jakże obywatelowi poważanemu (w całém mieście pojawić się na radzie miejskiéj, gdzie nie będzie zdolny trzech słów rozsądnych powiedzieć, — jakże radzić obywatelowi nie mającemu żadnego wykształcenia nad sprawami miejskiemi? Pan Radzca czuje swe kłopotliwe położenie, ale nie traci ducha. Z drżeniem serca wprawdzie udaje się na posiedzenie radnych, zasiada na krześle, przy głosowaniu podnosi z wielką powagą ręce — zresztą milczy. Po posiedzeniu, ażeby wytchnąć po trudach pracy nad sprawami publicznemi, udaje się Pan Radzca do winiarni i w poczuciu swéj wysokiéj godności „strąbiwszy się" zasypia snem błogim i budzi się w przekonaniu, że dopełnił obowiązków obywatelskich, że na głowie jego spocząćby mogły losy całéj Europy. Pana Radzcę przedstawił pan Rapacki z niezrównanym talentem.

Duchem pokrewnego Panu Radzcy przedstawił pan Bałucki Pana Walentego w dwuaktowéj komedyi: Polowanie na męża. Komedya ta jest jeszcze ostrzejszą satyrą na stósunki naszego mieszczaństwa.

Komedyą tę odegrało Towarzystwo Krakowskiego Teatru zeszłéj niedzieli z wielkiém życiem i werwą. Publiczność przepełniająca teatr, zachwycała się każdą sceną, a grze pani Hoffmann w roli Anieli i pana Rapackiego w roli Pana Walentego towarzyszył dosłownie grzmot oklasków.

Komedya: Polowanie na męża budzi bez porównania daleko więcéj zajęcia, aniżeli Radzcy pana Radzcy, bo przedstawia nam nie tylko wadliwe ale równocześnie i lepsze strony naszego mieszczaństwa. Pan Walenty, pierwsza figura w powyższéj komedyi, którego na scenie świetnie przedstawił p. Rapacki, jest zamożnym mieszczaninem, któremu duszno pomiędzy sobie równymi, który śmiesznie pnie się w górę i nieproszony wciska się do klas wyższych. Posiadając piękny majątek z pracy rzemieślniczéj, szuka szczęścia i zaszczytu w tém, aby mógł żyć z wielkimi panami, oddaje swoją jedynaczkę, Anielę, na edukacyą, unika dawniejszych swoich znajomych rzemieślników, mebluje pokoje, sprowadza dla córki fortepian, posadzki stroi drogiemi kobiercami, na wschodach rozpościera pokrowce, bierze udział w życiu publiczném, mianowicie w wyborach posłów, ale nie w téj uczciwéj myśli, nie z tém szlachetném, bezinteresowném poświęceniem, jakiego dowody złożyli n. p. w tych dniach poznańscy przemysłowcy przy wyborach posła do parlamentu Związku Północnego, lecz jedynie z próżności, jedynie dla tego, aby bywać u wielkich panów na herbacie, ażeby, jak się wyraża „żyć z ludźmi". Do uzupełnienia szczęścia potrzeba mu tylko, ażeby ukochana jedynaczka Aniela, poszła za wielkiego pana; na to jéj też daje wysoką „edukacyą", ażeby się niepotrzebowała powstydzić i poszedłszy za mąż, mogła się bawić — i nic nie robić. Panna Aniela, któréj rolę znakomicie odegrała znana ze swego talentu p. Hoffmann, to nieodrodne dziecię swojego ojczulka. Kształtna figura, lice rumiane, oczki żywe, wesołe, a czego natura nie dała, to uzupełniają koki i szyniony, suknia najświeższéj mody, porusza się z gracyą, mówi z uczuciem, gra na fortepianie, wprawdzie nie wiele, ale za to głośno, śpiewa, wprawdzie jedną tylko piosneczkę, ale za to wyraźnie — i co najważniejsza — szczebiocze po francusku. Potrzeba jéj męża odpowiedniego. Ale niestety — jak to zwykle bywa — wielcy panowie nie raczą, a równi nie śmieją się zbliżyć. Pan Walenty zatém, jako czuły ojciec, poluje na męża. Po długich oczekiwaniach

i nadaremnych obławach zastawionych na wielkich panów, zjawia się nagle w domu pana Walentego, młody syn mieszczański, literat, pan Leon (p. Benda) Chudy literat, to żadna partya panny Anieli. Pan Walenty niechce o nim nic wiedzieć, wszakże pannie Anieli się dłuży, lubi spacerować w modnych sukniach, ale z babką w staroświeckie przybraną robrony — wstyd, a z ojcem nudno; — na bezrybiu więc i rak rybą. Zaczyna tedy słodkie robić oczy do literata i porzuciwszy sny i nadzieje pańskie, czeka z niecierpliwością, dopóki jéj się nie oświadczy. Pan Leon spostrzega się, w jak trudne dostał się położenie, bo jemu ani się śniło zawracać i tak już przewróconą głowę panny Anieli, odwiedzał on dom jéj ojca jedynie dla tego, ażeby nie głosował przy wyborach za panami, ale za miejskim kandydatem. Tymczasem p. Leon spotyka się z swoim szkolnym kolegą p. Karolem (p. Ładnowski syn), który mu oświadcza, że jest szalenie zakochany w p. Anieli. To było właśnie p. Leonowi na rękę. P. Karol człowiek młody, przystojny, skończył chlubnie szkoły, był zagranicą, posiadał majątek nie mały, mógł być więc odpowiednim mężem dla p. Anieli. Pan Leon postanowił go tedy przedstawić panu Walentemu i zapoznać go z jego córką. Ale był w tém sęk nie mały. Na świeżo umeblowanych pokojach p. Walentego nie wolno było p. Karolowi przyznać się do swego stanu. Pan Leon więc przedstawił go jako obywatela ziemskiego. Co zamierzył, tego dokonał. Panna Aniela, widząc przed sobą urodziwego, majętnego obywatela ziemskiego, raczyła zaledwie zyzem zaszczycić literata, rozkochała się na śmierć w p. Karolu.

Nadeszły wybory, kandydat miejski p. Leona przepadł, hrabia, którego p. Walenty popierał, został posłem. Przez szacunek i uznanie panowie zapowiedzieli u p. Walentego wizytę. Oświecono pokoje, zastawiono samowary, wszystko było przygotowane, oczekiwano przybycia hrabiów. Po mieście całém mówiono o wielkiéj fecie u pana Walentego. P. Karól był także zaproszony i stawił się pierwszy. Tymczasem dystyngowani goście nie nadchodzili, zniecierpliwiony p. Walenty oddalił się z pokoju dowiedzieć się o przyczynę tego, zostawiając sam na sam p. Karola z córką. To była właśnie pora oświadczyć się p. Anieli i powiedzieć jéj o swym prawdziwym stanie i zawodzie. Usiedli obok siebie, patrzyli na się oko w oko i rozpoczął się uroczysty akt czułego oświadczenia. Oboje byli wzruszeni, p. Aniela uszczęśliwiona, pół nieba widziała przed sobą. „Ale — ale — pani — kończył nieśmiało p. Karól akt oświadczenia — ja — ja nie jestem obywatelem ziemskim.“ — „Ach! on może hrabia“ — westchnęła czuléj panna Aniela. „Ja — ja jestem, dokończył pan Karól z spuszczonemi oczyma — ja jestem szsz — szsze — szewcem.“ — „Pan żartujesz“ zagadnęła p. Aniela. — „Na honor — odrzekł p. Karol — jestem szewcem.“ — „Szewcem — krzyknęła p. Aniela, zerwawszy się z kanapy, jakby paraliżem rażona — „pfe! — szewc — wołała — pfe! smoła — śmierdzi — śmierdzi!“ Wtém nadszedł pan Walenty oburzony do żywego, że hrabiowie nie chcąc go zaszczycić swoją wizytą, wystrychnęli go na dudka i dowiedziawszy się, że ów majętny pan Karol jest szewcem, załamał ręce z rozpaczy, iż o rękę jego „edukowanéj“ jedynaczki śmiał starać się człowiek tak prostéj konduity. Kogóż tu schwycić na męża? P. Aniela z rozpaczy, zatknąwszy sobie z powodu obecności p. Karola nosek batystowę chusteczką zwróciła znowu słodkie oczy do literata. Ale p. Leon wypowiedział gorżką prawdę p. Walentemu, ukłonił się grzecznie p. Anieli i zabrawszy z sobą p. Karola, który wart był innéj dziewczyny, opuścił pokój p. Walentego.

Zasłona zapadła i zakryła śród grzmotu oklasków zawiedzione nadzieje pana Walentego, z którego zadrwili panowie — wykwintne przysmaczki kolacyi i p. Anielę — wszystko — dla źle zrozumianéj demokracyi — pozostawione na koszu.

* * *

Odezwa.

„Rodacy!

Ratować od zagłady zabytki przeszłości jest świętym obowiązkiem kraju, który tr dycye narodowe utrzymać, zasługi przodków od zapomnienia zasłonić, poczucie piękna w narodzie krzewić i miłość rodzinnéj ziemi późniejszym pokoleniom przekazać pragnie.

Jeżeli narody w pełni życia politycznego będące, wszelkich dokładają starań ku zachowaniu pomników jak najodleglejszéj przeszłości, to nam, z karty politycznéj narodów wykreślonym i na zagładę macierzystéj mowy, a nawet świętéj wiary przodków w innych dzielnicach dawnéj wielkiéj Ojczyzny narażonym, tém pilniéj baczyć należy, aby nic więcéj z uszczuplonéj już bardzo skarbnicy pamiątek narodowych uronioném nie zostało.

Jak daleko sięga polska mowa z różnemi jéj narzeczami, jak daleko łączyły się ludy pod sztandarem Orła polskiego, tak daleko zapewne zaszła wieść o wspaniałym gmachu, przez Wielkiego Króla na środku krakowskiego rynku wystawionym, któremu nazwę „Sukiennic“ dano.

Gmach ten, owo godło rozgałęzionego handlu dawnéj Polski, gmach, przed którego bramami królowie nasi hołd od pogranicznych książąt odbierali, w którego murach podejmowaliśmy najznakomitszych w narodzie mężów, gmach ten chyli się do upadku i o spieszny woła ratunek.

Głos ten o ratunek obwieszczamy wszystkim naszym rodakom, bo Sukiennice, ten drogocenny zabytek wielkiéj naszéj przeszłości, uznajemy za część tego narodowego inwentarza, którego zachowanie powierzyła Opatrzność mieszkańcom dawnéj Piastów i Jagiellonów stolicy.

Nie wyciągamy przeto z natręctwem ręki po jałmużnę, boaż nadto znamy smutne położenie zubożałego kraju naszego i wiemy, że przedewszystkiém na nas, mieszkańcach Krakowa, ciąży powinność utrzymywania gmachów pomnikowych, ale mamy sobie za obowiązek zawiadomić naszych rodaków, iż owa część skarbu narodowego narażona jest na zagładę, że ją ratować trzeba koniecznie i bezzwłocznie, że jednak siły gminy krakowskiéj na to nie wystarczają.

Dumnibyśmy byli, gdybyśmy własnemi funduszami odbudować mogli upadające Sukiennice, bo godziłoby nam się powiedzieć, żeśmy się zasłużyli narodowi; gdy atoli dobrym naszym chęciom nieodpowiadają szczupłe nasze środki, zmuszeni jesteśmy odezwać się, szanowni rodacy, do waszego współczucia obywatelskiego, prosząc, abyście w zamierzonéj pracy narodowéj poparlinas darami, jakich dostarczyć możecie.

Nadmienić musimy, że odbudowa Sukiennic rozpoczętą ma być na przyszłą wiosnę roku 1870 i ukończoną w przeciągu 3 lat to jest w roku 1873.

Datki pieniężne, do których zbierania jesteśmy upoważnieni, przyjmują na teraz prezydya magistratów: lwowskiego i krakowskiego, wszystkie urzęda gminne miast powiatowych Galicyi, redakcye gazet Czasu i Kraju w Krakowie, tudzież redakcya Gazety Narodowéj we Lwowie.

Kraków, dnia 18 maja 1869 r.

Komisya w celu odbudowania Sukiennic z łona Rady miejskiéj ustanowiona.

Prezydujący w komisyi:

Dr. **Dietl**
prezydent miasta.“

Szarada.

Ród mój od wieków znajomy na wschodzie,
Lecz na zachodzie cenią mnie kobiety;
Zniszcz mój początek — postaw M na przodzie,
A osłodzony będę wyśmienity.

(Rozwiązanie szarady w nr. 24: ***Modlitwa***.)

PUSZKA DO LISTOW.

Pani M.: Za okazaną „gorącą chęć pracy i przysłużenia się współbraciom“ jesteśmy bardzo wdzięczni. — Pani N. K. w Gnieźnie: Dziękujemy serdecznie za „płody chwil wolnych.“ Panom G. H. Z. w Wrocław., I. Thom. w Busz.: Dziękujemy — dobre. — Panu Józ. Dź.: Szkodaby było „zniszczyć.“ — Panu N. N. w Mikst.: Czy formy szarady są odpowiedniemi „ramami“ dla obrazu „czarującéj Pelagii?“
P. Kukułce w P.: Prosimy uznać nasze trudne położenie w obec tego, cośmy otrzymali. Zresztą prosimy wcale się nie zrażać. Tajemnicę gotowiśmy zachować najściślejszą.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.